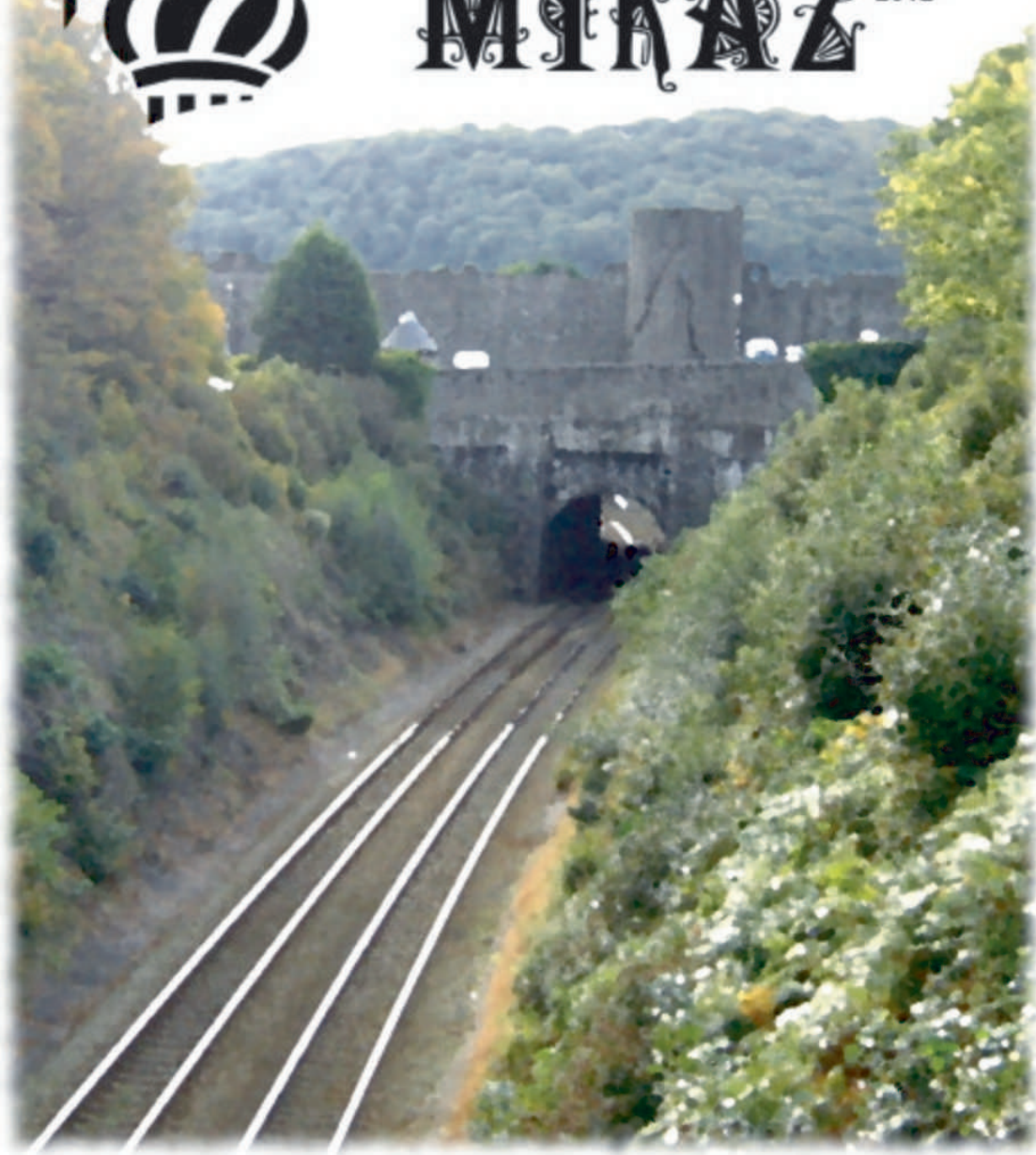




WSCHODNI MIRAZ

KWIECIEŃ
2012





SPIS TREŚCI:

Wyspy Sołowieckie - relacja z podróży • KAROLINA ŻUŁAWIŃSKA • 3

Z irlandzkim przytupem • ANETA GALARA • 6

Drang Nach Osten • ANNA SITKO • 10

CO SŁYCHAĆ? LITERATURA: Język - umysł - kultura • ANNA BACIAK • 12

Jezioro Łabędzie Moscow City Ballet okiem laika • KAROLINA ŻUŁAWIŃSKA • 13

Wschodni Miraż został wydrukowany dzięki
uprzejmości i wsparciu Rady Kół Naukowych
Uniwersytetu Jagiellońskiego



**RADA KÓŁ
NAUKOWYCH**
UNIwersytetu Jagiellońskiego

Redaktor naczelny
SYLWIA KUROWSKA

Skład i łamanie
SYLWIA KUROWSKA

Korekta
ANETA GALARA

Okładka
HANNA PIOTROWSKA

Rozliczenie projektu
i koordynacja druku
ALEKSANDRA POMORSKA

*Za treść i formę artykułów
odpowiadają ich autorzy*

WYSPY SOŁOWIECKIE

RELACJA Z PODRÓŻY

Na Sołowkach widać Rosję, jak w kropli wody – morze. Bo Wyspy Sołowieckie to esencja i antycypacja Rosji zarazem.

Mariusz Wilk, *Wilczy notes*

Nasza wyprawa do Karelii i na Wyspy Sołowieckie była częścią pociągowo-autostopowej podróży trzech dziewczyn do Rosji „europojskiej” (pociągiem ze Lwowa do Moskwy, później do Petersburga i stamtąd na północ - na Sołowki właśnie; w drodze powrotnej, autostopowej, zahaczyłyśmy o stolicę Karelii - Pietrozawodsk i pierwszą stolicę Rusi – Ładogę).

Na Wyspy Sołowieckie najprościej dostać się pociągiem z Petersburga; warto jednak zatroszczyć się o bilet zaraz po przyjeździe do miasta, na kilka dni przed planowaną podróżą na północ (w wakacje często trudno o wolne miejsca). Już sama jazda pociągiem może być sporą atrakcją – nawet jeśli dla kogoś płackarta i rozmowy z miejscowymi to nie pierwszozna, wrażeń dostarczają widoki za oknem (dzikie, północne lasy i jeziora), które podziwiać można niemal non-stop – im dalej na północ, tym

dłuższe białe noce. Wstające słońce zaczęło mnie razić i obudziło... przed czwartą nad ranem.

W Kiemi późnym rankiem przesiadamy się na prom. Pomimo pracującego głośno silnika bezkresna przestrzeń Morza Białego łagodzi nasze nerwy nadwyreżowane kilkutygodniowym bieganiem po hałaśliwej Moskwie i tylko nieco spokojniejszym Petersburgu...

Po kilku godzinach na horyzoncie widać potężne mury i wieże sołowieckiego kremla, pokład się ożywia, turyści (głównie Rosjanie, oprócz naszej trójki jest chyba tylko dwoje obcokrajowców – motocykliści z Łotwy) wyciągają aparaty. Wreszcie dobijamy do brzegu. Mamy wielką ochotę ruszyć prosto do murów klasztoru, rozsądek bierze jednak górę - trzeba znaleźć jakiś nocleg. Mimo że Sołowki są małą wioską na końcu świata, turystyka ma się tu całkiem nieźle. Już na brzegu dostajemy prowizoryczną mapkę z zaznaczonymi najważniejszymi punktami „centrum” i kilkoma reklamami. Jest nawet informacja turystyczna, w której warto zaopatrzyć się w dokładniejszą mapę



wyspy, można też kupić pamiątki, uzyskać informację o noclegach, a nawet skorzystać z (piekielnie drogiego) internetu.

Po zadekowaniu się na polu namiotowym (nocleg pod dachem jest nie na naszą kieszeń; przybliżone ceny podaję na końcu artykułu), ruszamy na wstępny rekonesans „centrum”. Sołowki nie są duże, wiki podaje, że zamieszkuje je 900 osób – latem z pewnością więcej (to popularne miejsce wypoczynkowe wśród mieszkańców Petersburga), zimą raczej mniej. Centrum (posiółek) znajduje się nieopodal głównego (i bodajże jedynego murowanego) punktu wyspy, a więc kremła – zabudowań klasztornych otoczonych potężnym murem. To plac wokół którego stoją drewniane domy pamiętające jeszcze czasy sowieckich łagrów; nie ma asfaltu, między budynkami spacerują kozy.

Czym są Sołowki? Mieszkający przez kilka lat na wyspie polski reporter i pisarz Mariusz Wilk pisze w swym Wilczym notesie, że to centrum prawosławia i potężny ośrodek ruskiej państwowości na Północy. Założony w XV wieku przez świętych mnichów Germana, Sawwatija i Zosimę klasztor szybko stał się stolicą gospodarczą i polityczną regionu Morza Białego. Jego

rozkwit przypadł na XVII wiek, kiedy to poza mnichami na wyspach pracowało kilkuset chłopów – przy uprawie ziemi i rybołóstwie, a także wydobywaniu pereł. Tu miał swój początek raskoł ruskiej cerkwi – sprzeciw wobec wprowadzonych w 1652 roku reform patriarchy Nikona (rozłam potępiono kilkanaście lat później, a starowierów poddano prześladowaniom – Sołowki stały się ich twierdzą; Wilk: Do dziś na Sołowki pielgrzymują staroobrzędowcy, jak muzułmanie do Mekki).

XX wiek nie był dla tego miejsca łaskawy. W 1923 roku na Sołowkach zorganizowano więzienie polityczne, pierwszy sowiecki łagier, prototyp obozów GUŁagu. Sołowki były obozem szczególnego przeznaczenia (Соловецкий лагерь особоро назначения, СЛОХ), miejscem przymusowej, niewolniczej pracy w nieludzkich warunkach – zimą w ciemnościach (podczas nocy polarnej) na kilkudziesięciostopniowym mrozie, wiosną, podczas roztopów, długi czas w wysokim błocie, w którym ciało zaczynało gnić. Rozsiane po całej wyspie zabudowania klasztorne zamieniono na budynki administracyjne, więźniowie musieli zbudować dla siebie drewniane baraki (które stoją i służą za mieszkania do dziś). Opisy życia



obozowego można znaleźć w Archipelagu GUŁag Sołżenicyna, autor podaje, że we wszystkich obozach GUŁagu zginęło około 60 mln osób. Gdzieś przeczytałam, że chodząc po Sołowkach, stąpa się po wielkim cmentarzysku... Na szczęście ostatnimi czasy zadbano o pamięć o historii tego miejsca, oznaczono miejsca egzekucji, pojawiły się tablice informacyjne.

Zniszczony w XX wieku klasztor obecnie, w dużej mierze dzięki funduszom UNESCO, odzyskuje swą dawną świetność. Wewnątrz znajduje się bogate i nowoczesne muzeum poświęcone Sołowkom – od czasów, gdy przybyli tu pierwsi mnisi po straszliwe dzieje SŁONu. Nieco dalej, w jednym z baraków sołowieckiego posiołka urządzono muzeum opowiadające wyłącznie o łagrach. Oba miejsca są warte uwagi; liczne ilustracje,

zdjęcia i filmy ułatwiają zapoznanie się z historią.

Ale Sołowki to nie tylko historia, to także piękna przyroda. Rozciągające się jak okiem sięgnąć lasy, pośród nich granatowe jeziora, wokół - morze. Na wyspie działa kilka wypożyczalni rowerów i choć drogi są w dużej mierze kamieniste lub piaszczyste, warto z nich skorzystać. Można też udać się na dłuższy spacer, na przykład na sąsiednią wyspę – Wielką Muksalmę połączoną z Wielką Sołowiecką kamiennym mostem (dambą). A najlepiej zaopatrzyć się wcześniej w trochę jedzenia (co raczej nie jest możliwe nigdzie poza centrum), wziąć namiot i złożyć Sołowki z plecakiem, biwakując po drodze i kąpiąc się w jeziorach.

KAROLINA ŻUŁAWIŃSKA

*Zdjęcia z Sołówek znajdują się
na 4 stronie okładki!*

PRAKTYKALIA

pociąg Petersburg-Kiem' - 94 zł (podróż trwa ok. 16 godzin)
prom z Kiem na wyspy ok. 60-80 zł w jedną stronę (ok. 2-3 godziny)
pociąg Kiem'-Pietrozawodsk – 64 zł (ok. 9 godzin)
(ceny za www.rzd.ru, w lecie mogą być nieco wyższe)

nocleg na polu namiotowym (z dostępem do prysznica i prądu) - 24 zł/os/dzień
(można też obozować „na dziko”)
najtańszy znaleziony przez nas nocleg „pod dachem” kosztował ok. 80 zł

wypożyczenie roweru 5 zł/godz lub 30 zł/dzień
można skorzystać z licznych ofert wycieczek na sąsiednie wyspy
(niestety dość drogie, powyżej 100 zł)
jedzenie w miejscowych sklepikach jest dużo droższe niż „na lądzie”, lepiej zaopatrzyć się wcześniej

najlepszy polski „przewodnik” po Sołowkach to Wilczy notes Mariusza Wilka
(warto przeczytać wcześniej i wziąć ze sobą)

Z IRLANDZKIM PRZYTUPEM

Bardzo dużą popularnością cieszy się w Rosji muzyka celtycka. Powodem zaistniałego stanu rzeczy jest częsta nieznajomość rosyjskiego folkloru, przy ogromnej dostępności książek czerpiących z zachodnioeuropejskiej kultury.

А все потому, что у нас прерванная традиция, а у них нет - mówi Chelawisa (Natalia O'Shea), wykładowca na katedrze celtyckiej Uniwersytetu Moskiewskiego i liderka „Mielnicy”- *Невозможно себе представить, чтобы у нас какие-нибудь люди из архангельской деревни выступали в прайм-тайм на Первом канале и на три голоса что-нибудь пели. А в Ирландии мои ровесники приклеиваются к телевизору и смотрят, как старенький Шеймос Бегли и молодая Полин Сканлон поют какую-нибудь страшно патриотическую ирландскую песню.*

Muzyką celtycką najwcześniej zainteresowali się członkowie zespołu „Akwarium”, dając tym samym podwaliny do rozwoju tego gatunku na terenie Rosji. Analogicznie, pierwszym

kręgiem odbiorców zostali słuchacze, w przeważającej większości hipisi, którzy sympatyzowali z twórczością owej grupy. Wtedy też, czyli na początku lat 80, pojawiły się pierwsze zapisy muzyki celtyckiej.

Umownie nurt ten dzieli się na trzy grupy. Pierwszą stanowią kolektywy, które wykonują tradycyjną muzykę celtycką w czystej postaci – instrumenty, melodie, teksty są zbieżne z oryginałem.

Za czołowego przedstawiciela tego nurtu uważa się zorganizowany wokół lidera Jurija Andriejczuka, powstały w 1996 roku zespół „Slua Si”. Piosenki kolektywu stanowią szereg obrazków, pokazujących Irlandię w całej krasie – jej piękno, historię i życie codzienne mieszkańców „zielonej krainy”.



SLUA SI

Różnorodność postaci występujących w kompozycjach jest doprawdy imponująca – spotkać w nich możemy zarówno wesołych pijaków, jak i ponurych, zapracowanych chłopów, dzielnych wojowników i przewrotnych oszustów, doświadczonych marynarzy, partyzantów oraz przeliryzowanych, zakochanych petów. Zespół w niczym nie ustępuje rodowitym irlandzkim kapelom; jego występom często towarzyszą pokazy tradycyjnego tańca i stepu.

Pomimo ogromnego szacunku, jakim darzę kunszt warsztatowy „Slua Si”, nie mogę powstrzymać się od myśli, że w swym naśladownictwie są zbyt idealni, nazbyt irlandzcy, a co za tym idzie – bardzo przerysowani. Według mnie, dużo ciekawszą propozycję stanowi wyrazistsze zderzenie rosyjskiego temperamentu z irlandzkim „dwa w jednym” - psotliwością i liryzmem, czyli muzyka przedstawicieli drugiej grupy. Kapele zaliczane do tego grona charakteryzują się uwypukleniem autorskiego „ja” i twórczymi transformacjami dokonywanymi na irlandzkim, zapożyczonym materiale w kierunku innych stylów.

Przykładem takiego podejścia do irlandczyzny jest twórczość grupy

„Puck & Piper”, grającej muzykę irlandzką na pograniczu folk-rockowych aranżacji. Kapela jest w stanie zadowolić niejednego słuchacza – posiada w swoim repertuarze zarówno rubaszne, pijackie piosenki, nostalgiczne ballady, jak również instrumentalne, taneczne reele i jiggi.



Ogromną zaletą zespołu jest to, że teksty większości piosenek są pisane w języku rosyjskim, bądź też stanowią swobodne tłumaczenie oryginałów, w których „общий дух разбитной кабацкой песни передан с завидным остроумием”.

Trzecia i jednocześnie najliczniejsza grupa szuka w irlandzkiej muzyce inspiracji, które traktuje jedynie w kategoriach twórczego kontekstu. Utwory takich zespołów, jak „Bielaja sowa”, „Mielnica” czy „The Dartz” stanowią syntezę rosyjskich, celtyckich, bretońskich, irlandzkich oraz



skandynawskich elementów w tradycyjnym, bądź też progresywnym ujęciu.

Bardzo ciekawym i jednocześnie stosunkowo mało znanym przedstawicielem tego kręgu jest pochodzący z Petersburga zespół „Reelroad” (jego kompletna nazwa to The Russian-Celtic Orchestra Reelroad). Grupa ta, grająca celtycką i rosyjską muzykę, w swoim instrumentarium łączy elementy charakterystyczne dla obu tych kultur. Obok fletów, akordeonu oraz skrzypiec możemy też usłyszeć galicyjskie dudy, bombardę, lirę korbową. Szczegółnej uwadze słuchacza polecam ostatni album Reelroad, zatytułowany Гуляю, Гуляю – bardzo rosyjski (moim zdaniem zachwycający); niezwykle interesujący, wyeksponowany przez samych artystów utwór Венгерская, a także (jako wyraz lokalnego patriotyzmu) kompozycję

краковяк, znajdującą się na płycie Стрела.

Rosyjscy wykonawcy dbają o propagowanie swojego dorobku, czego przejawem jest irlandzka tradycja festiwalowa. Od kilku lat w marcu Moskwa oraz inne miasta są świadkami hucznych obchodów Dnia Świętego Patryka – organizowane są imprezy najróżniejszego formatu – projekcje filmowe, koncerty (rosyjskich wykonawców oraz zaproszonych specjalnie na tę okazję zagranicznych gości), pokazy taneczne, wystawy, warsztaty rzemiosła, scenki teatralne oraz punkt kulminacyjny obchodów – parada. Rosjanie przez kilka dni (w tym roku 14-18 III) mają okazję doświadczać na swojej skórze irlandczyzny w pełnym tego słowa znaczeniu i „увидеть мир сквозь волшебные зеленые очки”.



Ponadto wakacyjną porą (lipiec) w 2010 roku w Moskwie zorganizowano „Международный

Фестиваль „Волынщиков” (Międzynarodowy Festiwal Dudziarzy), a w roku bieżącym będzie miała miejsce jego kontynuacja. Jak co roku w czerwcu, i tym razem przedstawiciele irlandzkiego nurtu nie zabraknie również na folk-rockowym festiwalu „Дикая мята” (1-3 VI) – dla moskiewskiej publiczności wystąpią m.in. bardzo

liczbę entuzjastów muzyki celtyckiej, daje niezwykłą możliwość posłuchania znakomitości irlandzkiej sceny światowej, nauki gry na tradycyjnych instrumentach muzycznych, udziału w panelach tematycznych oraz warsztatach tanecznych prowadzonych przez profesjonalistów.

Podczas festiwalu swoje prace



energetyczny kolektyw „Tintal” oraz doskonale wszystkim znana „Mielnica”.

Wygodnickim, którzy mimo wszystko chcą w szerszym wymiarze poobcować z irlandzką kulturą, a nie przepadają zapuszczać się w odległe strony, polecam odwiedzić nasz polski, będziński, największy w środkowej Europie festiwal, który odbywa się od 2003 roku w ostatni weekend wakacji. „Festiwal Muzyki Celtyckiej ZAMEK”, za każdym razem gromadzący ogromną

inspirowane pejzażem Szkocji, Bretanii i Irlandii prezentują plastycy z całej Polski. Świetna muzyka, przyjacielska atmosfera, magia średniowiecznego zamku, kameralne pokoncertowe jam session i zabawa do białego rana - wszystko to powoduje, że na kilka dni Będzin staje się miastem absolutnie wyjątkowym. :)))

ANETA GALARA



DRANG NACH OSTEN

Marszrutki to idealny środek transportu dla niepotrafiących funkcjonować rano. Jeśli nawet po obowiązkowym, morderczym wstawaniu z drzemki nie wyrwie mnie podskakiwanie na wszechobecnych wybojach (co jest zupełnie nieprawdopodobne), to zawsze pozostanie mi koncentrowanie się na próbach dostania się bliżej ledwo uchylonego okienka. Im dalej stoisz od okna, tym większe prawdopodobieństwo, że po wyjściu z autobusu nie będziesz w stanie utrzymać się na nogach. Wiele razy zdarzało mi się stać w marszrutkowym upale obok złotozębnych, opatulonych w grube chusty ukraińskich staruszek, mężczyzn zionących alkoholem, czy wypachnionych tanimi perfumami młodych elegantek.

Podczas wyprawy na wschód zostałam rzucona do południowej części obwodu lwowskiego. Mimo, że byłam przygotowana na niewygody i „dzikość” kraju, nie spodziewałam się tego, jak bardzo obce może mi być to, co znajduje się tak blisko mojej ojczyzny. Karaluchy w kuchni, brak ciepłej wody

i dziury w ziemi zamiast toalet w hotelu ze ścisłego centrum miasta - to tylko preludium mojego szoku kulturowego. Stądka bezpańskich psów biegających po ulicach nikogo tutaj nie dziwią, a żeby zobaczyć iście postapokaliptyczne widoki nie trzeba jechać 400 kilometrów do Czarnobyła. Wystarczy przespacerować się po lokalnych osiedlach. Widać tam będę, niezadowolonych z postępowania państwa obywateli, rozczarowanych miejscowych, którym obiecano niepodległość. K. powiedział nawet, że Ukraińcy wykazują wszystkie cechy „polackowości” w zwielowrotnionej formie (nie nazywałabym tego tak brutalnie, ale myślę, że ma trochę racji). Są jednak rzeczy, którymi Ukraina mnie zachwyca.

Kiedy wskoczyłam do pociągu długo nie mogłam wyjść ze zdumienia, dlaczego dopiero Bruno Schulz napisał „Sanatorium pod klepsydrą”. Drewniane ławy, depresyjne światło, dziwni pasażerowie i niesamowite widoki za oknem (dzikość pól wymieszana z szarością opustoszałych budynków przemysłowych) tworzą naprawdę



psychodeliczny, oniryczny klimat.

- *Dzień dobry, chciałam kupić dwa bilety do Lwowa* - powiedziałam zupełnie niezainteresowanej moją osobą konduktorce, plując sobie w brodę, że nie chciało mi się poczekać tych pięciu minut na dworcu w kolejce do kasy - ...*studenckie* - dodałam już naprawdę nie wiem po co. - *Acha, pani poczeka na miejscu* - tyle zrozumiałam z jej wypowiedzi. Dlaczego wszystkie Ukrainki muszą tak trajkotać? Krzyczeć wręcz. Podreptałam w stronę mojego miejsca gryząc się z myślami, jak po polsku, w prostych słowach wytłumaczyć kontrolerowi, że wykazywałam wolę zapłacenia za bilety, ale to konduktorka nie chciała mi ich sprzedać. Zagranicznego mandatu nie zamierzam płacić. Zastanawiałam się jeszcze, na ile ukraińskie prawo nazwane może zostać prawem i czy moje ewentualne obiekcje będą w ogóle brane pod uwagę. Koniec końców bilety otrzymałam, a gdy już dojechałam do Lwowa Muzeum Narodowe respektowało moją kartę Euro26.

- *Hałyczyna wolna od Rosji!* – obwieszczają napisy na murach - *Dziękuję ci Boże, że nie urodziłem się Moskałem!* - głoszą przypinki sprzedawane na co drugim stoisku z pamiątkami. Powszechne są też kubki



i koszulki z Banderą i innymi banderopodobnymi. Co jednak zdziwiło mnie najbardziej, to moja własna reakcja - jako Polka nie mam za złe Ukraińcom ich nacjonalizmu. Ba - stojąc jakby po drugiej stronie narodowej barykady - winszuję temu państwu młodzieńczej werwy i wyzwolenicznych nastrojów.

Ukraina mimo że biedna, bogata jest w kulturowo-cywilizacyjne smaczki (jak na przykład zdobycze w postaci truskawieckich hoteli dla bogaczy, do których jedzie się po prawie nieistniejących drogach). Dzikość terenu zachęca badacza do eksploracji i nagradza go, gdy ten nieustraszenie przedziera się przez własne uprzedzenia i przyzwyczajenia.

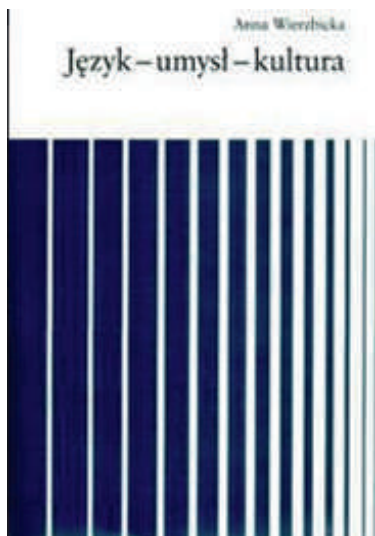
Więcej o takich smaczkach w następnej notce.

A na filologii ukraińskiej w tym roku znowu pustki.

ANNA SITKO

CO SŁYCHAĆ?
LITERATURA

JĘZYK - UMYŚŁ - KULTURA



Wszystkim tym, którzy rozpoczynają wędrówkę po świecie językoznawstwa i kulturologii, polecam książkę *Język, umysł, kultura* Anny Wierzbickiej. Autorka w interesujący sposób komentuje takie zagadnienia jak np. rozumienie opowieści, przestrzeń mentalna, charakterystyka przestrzeni mentalnych, a nawet w jaki sposób znaleźć odpowiedzi na nasze pytania.

W jednym z rozdziałów autorka analizuje językowy i kulturowy wydzźwięk wyrazu ojczyzna. Okazuje się, że słowa, które pod względem znaczeniowym mogłyby zostać uznane

za te same, w gruncie rzeczy różnią się od siebie, ujawniając swoistość tradycji i mentalności właściwej danemu narodowi czy społeczności. Używane zamiennie słowa: *ojczyzna*, *Heimat*, *Vaterland*, *homeland* i *родина* są podobne semantycznie, ale mają różny wydzźwięk emocjonalny.

Mickiewiczowska Inwokacja zachowuje kategorię Heimatu - tęsknoty za beztroskim dzieciństwem powiązanych z konkretnym miejscem (u Mickiewicza Litwa). Vaterland to kraj ojców, do którego żywi się uczucia synowskie, miłość, honor, oddanie. To najlepszy kraj najlepszy spośród innych, godny pochwały, majestatyczny i wzniosły.

O ile Vaterland jest traktowany jak kraj ojców, o tyle ojczyzna w powszechnej świadomości kojarzona była z cierpiącą matką, jak również z pojęciem wolności narodowej i niepodległości, prześladowaniem oraz wygnaniem. Rosjanie mają trzy słowa oznaczające ojczyznę: *родина* - kraj urodzenia, do którego czuje się więź emocjonalną, *отечество* - kraj, wobec którego mamy pewne zobowiązania,

отчизна - arkadia, do której się tęskni.

Przez ten sam pryzmat autorka przygląda się emocjom. W rozdziale Mówienie o emocjach. Semantyka, kultura i poznanie pisze:

Każda kultura wytwarza inne postawy wobec uczuć, inne strategie uzewnętrzniania uczuć i inne metody radzenia sobie z uczuciami(...). Badanie osobowości ludzkiej musi być ściślej niż w przeszłości powiązane z badaniem kultury.

Szeroki zakres jasno omówionych zagadnień posłuży ogólnej erudycji, ubogaceniu dotychczasowo zdobytej wiedzy w tych dziedzinach. Prezentowany materiał dotyczy nie tylko pojęć abstrakcyjnych, wydawałoby się górnołotnych, ale też tych, z którymi mamy do czynienia na co dzień. Gorąco polecam.

ANNA BACIAK

JEZIORO ŁABĘDZIE MOSCOW CITY BALLET OKIEM LAIKA

Myśląc „balet” często jako pierwsze stają przed oczami tancerki w białych kostiumach i krótkich spódnickach, które stojąc w dwóch rzędach, wykonują piękne, symetryczne układy, a pośród nich płynnymi ruchami tańczy solistka... Choć niekoniecznie sobie to uświadamiamy, to właśnie obrazek z Jeziora Łabędziego – chyba najslawniejszego baletu na świecie.

Prapremiera spektaklu, do którego muzykę ułożył Piotr Czajkowski, a choreografię Marius Petipa i Lew Iwanow, miała miejsce w Teatrze Bolszoi w Moskwie w 1877 roku i...

ponoć nie wywarła na widzach wielkiego wrażenia. To zmieniło się jednak już podczas wykonania w Petersburgu, które zachwyciło publiczność. I niewątpliwie może zachwycać również współcześnie.

Polscy widzowie mogą się o tym przekonać dzięki odbywającym się w wielu miastach naszego kraju corocznym występom Moscow City Ballet. W 2011 roku grupa występowała w Krakowie tuż przed Wigilią, wystawiając 22 grudnia Jezioro Łabędzie, a 23 Dziadka do Orzechów. Informacja podana na stronie



internetowej odpowiadającej za kwestie organizacyjne agencji artystycznej okazała się najzupełniej prawdziwa: Stało się już tradycją, że na przełomie jesieni i zimy, kiedy na dworze robi się ponuro i smutno, Moscow City Ballet przyjeżdża do naszego kraju, aby zabrać widzów w świat pełen pozytywnych emocji, w krainę baśni i piękna.

Najogólniej rzecz ujmując, Jezioro Łabędzie jest historią miłości księcia Zygryfda do Odetty – dziewczyny zaklętej w królową łabędzi, którą spotyka pewnego wieczoru nad jeziorem i w której natychmiast – i ze wzajemnością – się zakochuje. Przysięga miłości ma moc zdjęcia z królowej i towarzyszących jej dziewcząt-łabędzi złego czaru i przywrócenia im ludzkich postaci.

Jednak następnego dnia w pałacu wyprawiany jest bal, na którym księżę ma wybrać spośród licznych kandydatek swą przyszłą żonę; przybywa tam również czarnoksiężnik ze swą córką Odelią, łudząco podobną do Odetty... Reszta fabuły niech na razie pozostanie tajemnicą, osobom wybierającym się na balet polecam jednak wcześniejsze się z nią zapoznanie (mimo iż choreografia i precyzyjny taniec – chciałoby się napisać „gra aktorska” - są bardzo sugestywne, lepiej wiedzieć zawczasu, czego należy w nich szukać).

Prof. Ewa Wycichowska, tancerka i choreograf, napisała o Jeziorze Łabędzim, że to synonim klasycznego piękna i wykonawczej perfekcji, trudno się z tą opinią nie zgodzić. Zarówno stroje tancerzy (w II i IV akcie białe kostiumy łabędzi, natomiast w III suknie i szaty dworskie), jak i opowiadająca o miłości i walce dobra ze złem fabuła odwołują się do



klasycznej estetyki – nie szokują, nie stawiają widza bezradnego wobec widowiska, które nie wiadomo, jak rozumieć (co zdarza się w balecie nowoczesnym). Pozwalają skupić się na opowieści, a przede wszystkim – na dziejącym się przed oczami pięknie. Trudno nazwać inaczej precyzyjne, płynne i pełne wdzięku ruchy baletnic oraz niewiarygodne i momentami zapierające dech w piersiach popisy solistów. W widzu momentalnie budzą one podziw dla wysportowania tancerzy i perfekcyjnego wyćwiczenia najdrobniejszych detali ruchu (które w obcisłych, jasnych strojach na tle ciemnej scenografii widać jak na dłoni). Dodając do tego wspaniałą,

wydobywającą piękno ludzkiego ciała choreografię (układy grupowe: słynny „Walc łabędzi” oraz „Taniec czterech łabędzi” i indywidualne „malowanie ciałem i ruchem” przez każdego z artsytów) oraz muzykę Czajkowskiego (ta, niestety, nie jest grana na żywo), można śmiało stwierdzić, że spektakl przenosi w krainę magii. Co więcej, jest to magia osiągalna (ciężką pracą) dla zwykłego śmiertelnika. Po tym występie tkwi we mnie mocne przekonanie, że balet, to najpiękniejsza rzecz, którą człowiek może zrobić ze swoim ciałem.

KAROLINA ŻULAWIŃSKA



Moscow City Ballet został założony w 1988 roku przez rosyjskiego choreografa Viktora Smirnova-Golovanova, który przez ponad 20 lat był tancerzem Teatru Bolszoi. W skład grupy wchodzi ok. 60 tancerzy wywodzących się z najlepszych szkół choreograficznych Rosji i Ukrainy. (za: <http://www.koncert.pl>)



WYSPY
SOŁOWIECKIE

